

Wojna na obrazy i litery

1 listopada 2022

– Rosja przegrała wojnę informacyjną na Zachodzie – mówię. – No to co? Za to wygrała na Wschodzie – odpowiada mi mój przyjaciel, rosyjski politolog. Ma rację. Tyle, że nic z tego nie wynika.

Rosyjska propaganda doskonalila się od 2000 roku. Za czasów jelicynowskiej smuty była zwykłą grą i manipulacją ludzkimi umysłami, którą znamy na co dzień z polskich mediów od 30 lat. Po dojściu do władzy ekipy Władimira Putina medialna przestrzeń rosyjska zaczęła się powoli zmieniać, zwiększając swoją skuteczność w oddziaływaniu na odbiorców. Rosyjscy polittechnolodzy, jak tutaj się ich nazywa, zaczęli stawiać na nowy typ narracji.

Od mniej więcej 1990 roku rosyjski odbiorca zmagał się z nowym przekazem, w istocie przekreślającym panujący przez niemal 70 lat radziecki mit propagandowy. W nim świat był czarno-biały: ZSRR i jego mieszkańcy byli wspaniali, Zachód zaś był wcieleniem zła. Trochę oczywiście upraszczam, ale chodzi o to, że w czasach Jelcyna różne propagandowe mechanizmy dokonały gigantycznego wysiłku, by temu zaprzeczyć. Rosja była w nim krajem, którego należało się co najmniej wstydzić. Wielka Wojna Ojczyźniana była niepotrzebną rzeźnią, a niemieccy żołnierze byli jedynie ofiarami wojny, rozpętanej przez Hitlera i jego klikę. W zasadzie wojna 1941-45 z jej milionowymi ofiarami była klęską, a nie zwycięstwem. Temu samooskarżycielskiemu tonowi sprzyjała ówczesna rzeczywistość, w której państwo rosyjskie rozkładało się jak trup, tylko bardziej spektakularnie. Społeczeństwo poddane wspomnianej obróbce medialnej obróbce było zdemotywowane, zniechęcone i pozbawione tej dynamiki rozwoju, bez której żadne państwo nie może funkcjonować. Nowa władza chciała to oczywiście zmienić.

Nowy przekaz medialny zaczął odbudowywać wiarę Rosjan we

własne państwo, jego skuteczność, siłę i sprawiedliwość. Nieważne, czy to była prawda, ważne, że działało. Rosjanie zaczęli odczuwać dumę z bycia obywatelami swojego państwa, czyli czuć to, czego im tak brakowało przez 10 lat. Owszem, Rosja w tym czasie stawała się państwem z kolosalnym rozwarstwieniem społecznym, kompradorskimi elitami związanymi tysięcznymi więzami z Zachodem, ale jednak państwem, które odgrywało w świecie istotną rolę. Obywatele przyjęli ten przekaz za swój.

Od 2014 roku jakość propagandy zaczęła się psuć. Do tej pory sztandarowe programy, w których ścierały się poglądy i racje uczestników, zamieniły się w bazarowe ujadania pod z góry ułożone tezy. Zapraszano np. niezbyt lotnych ukraińskich dziennikarzy i politologów, by kompromitowali się swoimi wypowiedziami i stawali się łatwym celem namiętnych filipik pozostałych uczestników. Albo zapraszano do występowania w nich Polaków, którzy odgrywali umówione role czarnych charakterów, stając się tym samym symbolami wrogiego wobec Rosji Zachodu. Wszystko to przy akompaniamencie wrzasków, wzajemnych oskarżeń i bijatyk w studio. Oczywiście, nie wszędzie tak się działo, ale był to przekaz dominujący. Jednocześnie coraz bardziej zaczęła ludziom doskwierać niesprawiedliwość systemu, kłuło w oczy niesłychane bogactwo elit, ich bezkarność i okazywana zwykłym ludziom pogarda. Dotychczasowy, do tej pory dobrze działający mechanizm propagandowego wpływu zaczął się zacinać. Wciąż jednak pozostawał silny, szczególnie w swoich oddziaływaniach na zagraniczne audytorium.

W takim stanie rosyjskiej przestrzeni informacyjnej rozpoczęła się agresja rosyjska na Ukrainę. Strona zaatakowana przez ostatnie 30 lat też nie zaniedbała niemal niczego w sferze propagandy, by stworzyć swój państwowy byt, w którym Rosja była głównym wrogiem. Kulminacją tego przekazu były lata następujące po kijowskim Majdanie 2014 roku. Propaganda państwa Ukraina przyniosła rezultaty, z którymi teraz zmaga

się propaganda rosyjska. I przegrywa.

Początkowo, gdy jeszcze wydawało się, że wojna potrwa krótko, a ukraińskie władze zostaną zdmuchnięte jak puch, rosyjska propaganda ograniczała się do suchego komentowania postępów wojsk rosyjskich, przy jednoczesnym podkreślaniu, że Ukraińcy i Ukraina to naród i państwo przyjazne Rosji. Potem, gdy było jasne, że blitzkriegu nie będzie, przekaz stał się agresywniejszy, pojawiły się teksty antyukraińskie. Nie były dominujące, ale sam fakt ich istnienia wart był odnotowania.

We wspomnianych mainstreamowych programach telewizyjnych też zaszła zauważalna zmiana. Powrócono, przynajmniej w części emitowanych wydań, do spokojniejszego tonu, prób spokojniejszych dyskusji, w których prezentowano różne punkty widzenia. Lecz wydaje się, że ten zwrot dokonał się zbyt późno, kiedy już wiarygodność prowadzących czołowych propagandystów poniosła zauważalne szkody.

W sytuacji ukraińskiej ofensywy i utraty kolejnych miejscowości próbowano uruchomić żelazny, jak się do tej pory wydawało, przekaz: wojnę na Ukrainie próbowano porównać i niejako przykleić do legendy Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i konieczności obrony ojczyzny, zagrożonej unicestwieniem. Również to nie zadziało. Rosyjskie społeczeństwo, nawet jeśli w swej większości popiera działania zbrojne na Ukrainie, to instynktownie czuje niezręczność tego typu porównań. Wielka Wojna Ojczyźniana była jednak niesłychanie krwawym wysiłkiem całego narodu w obronie swojego państwa, a potem symbolem wyzwolenia Europy od nazizmu. W ukraińskiej wojnie to nie działa.

Równolegle z przekazem dotyczącym wojny, Rosja prezentowała dodatkową opowieść. W niej prezentowała się jako państwo „rozsądnego konserwatyzmu” rozumianego jako przywiązanie do tradycyjnych wartości społecznych, szczególnie rodzinnych. Tę narrację przeciwstawiano wyuzdanemu, dekadenskiemu Zachodowi, w którym ofensywa środowisk LGBT zagraża integralności tkanki

społecznej. Przez długi czas, kiedy byłem w Rosji, eksploatowano zdjęcie jakichś freaków z jakiejś Berlin Pride z fujarami na wierzchu, starannie zresztą w rosyjskiej telewizji wypikselowanymi. To był symbol zepsucia Zachodu. Przed tym Rosja chronić ma siebie i swoje społeczeństwo. I owszem, ta forma relacji przynosiła pożądane efekty: trafiała to do ludzi od 30 lat wzwyż, którzy już świadomie pojmowali rolę rodziny, posiadania dzieci itd. I do ludzi starszych, ukształtowanych przez propagandę ZSRR. W jednym tylko ta forma propagandy rosyjskiej przestrzeliła: poza wpływem takiej relacji pozostała młodzież. Opowiadanie jej o ważności rodziny jako podstawowej komórki społecznej trafiało w pustkę. Tak samo jak religijny sos, w którym to sprzedawano. Teraz jeszcze podnoszą się głosy o całkowitym zakazie przerywania ciąży, które nastolatki i niewiele od nich starsi przyjmują jako zamach na ich wolność, jakkolwiek by ją rozumieli. Owszem, są widoczne próby jakiegoś oddziaływania na młodych i bardzo młodych ludzi: organizacja „Nasi”, „Junarmia” (Młoda armia), ruch wolontariacki. Takie krzyżowanie radzieckiego Komsomołu z pionierami i czymś w rodzaju Ligi Obrony Kraju daje, na mój gust, słabe efekty. Młodzież, przynajmniej ta jej pokaźna część, która jest odporna na patriotyczne wzmożenia chce, jak młodzież na całym świecie, bawić się, nie ponosić za nic odpowiedzialności, badać świat na swój sposób i nie znosi nakazów. A już opowieści o religijnej ascezie przyprawiają ich o dreszcz zgrozy.

* * *

Rosjanie nie docenili siły medialnego przekazu kształtującego przeciwnika. Ukraińcy przez 30 lat swojej niepodległości stali się nie tylko ludźmi, doceniającymi posiadanie własnego państwa, ale też gotowymi (w znakomitej swej większości) o to państwo walczyć wszelkimi środkami.

Co zaś się tyczy samej wojny, to strona ukraińska bazuje na od dawna przygotowywanych we współpracy z zachodnimi specjalistami w tej dziedzinie, z efektów pracy Jednostek

Informacyjno-Psychologicznych Operacji (tzw. IPSO). W gruncie rzeczy to ich przekaz zdominował zachodni przekaz propagandowy. Przy jednoczesnym odcięciu rosyjskich źródeł informacji daje to pożądany efekt propagandowego oddziaływania na społeczeństwa zachodnie. Nie ma to oczywiście nic wspólnego z prawdą, ale nie o prawdę chodzi w przekazach z działań wojennych. Strona rosyjska robi tak samo, lecz z pewnością w sposób mniej toporny niż strona ukraińska i łykające całkowicie bezkrytycznie jej przekaz zachodnie media.

Przekaz zachodniej propagandy jest jednoznaczny. By nie wchodzić w szczegóły: Rosjanie to podludzie. To nie jest nowa narracja. To dokładne powtórzenie antyserbskiego przekazu sformułowanego przez agencję Ruder Finn Global w czasach wojny w Jugosławii. Z wszystkimi szczegółami: gwałtami, masowymi mordami i ludobójstwem, których mieli się dopuścić Serbowie na swoich przeciwnikach. Chodziło o utrwalenie portretu Serbów jako nie-ludzi. I to się udało w przypadku Rosji na Ukrainie.

Ukraina przechwyciła inicjatywę w wojnie informacyjnej z Rosją od początku. Codzienne wystąpienia prezydenta Zełenskiego do ukraińskiego narodu stworzyły na pewno w części ukraińskich obywateli, że oto są otoczeni przez prezydenta niemal ojcowską opieką. Po drugiej – rosyjskiej stronie – prezydent mówi rzeczy ważne, ale tylko w wyjątkowych sytuacjach. Dodaje to wagi jego słowom, ale odejmuje przekazowi propagandowemu. Zamiast niego wypowiadają się inni oficjele, nie zawsze szczęśliwie i nie zawsze przekonująco.

Strona ukraińska skutecznie zablokowała wszelkie, choćby najmniejsze przejawy opozycyjnego przekazu wobec wojny z Rosją. Zaczęło się na długo przed atakiem Rosji na Ukrainę: zamykano całe kanały telewizyjne, gazety, aresztowano ludzi podejrzanych o prorosyjskie sympatie, część zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Czyszczono pole. Potem już było łatwiej.

Rosja, już po rozpoczęciu ataku na Ukrainę, zabezpieczyła

swoje pole medialne wspierając się rozwiązaniami prawnymi, które przewidują kary więzienia za poglądy przeciw wojnie, choć nazywają się inaczej: dyskredytowanie sił zbrojnych Rosji. Jednak te sposoby nie na wiele się zdają wobec sieci społecznościowych. I wprawdzie w odpowiedzi na zablokowanie przez państwa Zachodu rosyjskich mediów głównego nurtu, zablokowano w Rosji Facebooka, ale jest powszechnie obchodzone dzięki VPN, a działają i inne kanały takie jak Vkontakte, Odnoklassniki czy Telegram. Państwowa cenzura nie jest w stanie upilnować nieposłusznych.

W gruncie rzeczy obserwowanie ukraińsko-rosyjskiej wojny propagandowej jest o tyle bezsensowne, że nie można traktować pracowników mediów po jednej i drugiej stronie jak dziennikarzy. Oni są żołnierzami na froncie wojny informacyjnej. Z wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Ale to nie dotyczy lub raczej nie powinno dotyczyć mediów pozostałych krajów.

* * *

Z tego punktu widzenia możemy spojrzeć na polskie media. To nie jest przyjemny widok.

Polskie dziennikarstwo, jeżeli można użyć tu tego sformułowania, już dawno utraciło swą podstawową funkcję – informowania lub jak kto woli, opisywania, z maksymalną bezstronnością, widzianego świata. Czy stało się to podczas opisywania wojny w Jugosławii, agresji NATO na ten kraj, czy może wcześniej, to teraz nieistotne. Ważne jest to, że polskie media, jeśli chodzi o wojnę polsko-ukraińską, ochoczo powielają propagandowy przekaz tylko jednej ze stron konfliktu. Robią to urągając inteligencji odbiorców i kompromitując się przy okazji.

Już nie chodzi tylko o informacje w wiodących polskich portalach, z ich kickbajtowymi tytułami, które są wyssanymi z palca tekstami po to, by przyciągnąć uwagę czytelnika. Same

informacje są często jakimś konglomeratem całkowitych idiotyzmów i zaprzeczających elementarnej logice „faktów” wyciągniętych z tyłka ich autorów. Roi się w nich od opisów, które zaczynają się od wstępu „jak podaje ukraiński wywiad” , armia, inne ukraińskie źródła. Nie jest możliwe, by piszący te newsy nie wiedzieli, że powielając bezkrytycznie i bezrefleksyjnie teksty z tych źródeł, biorą udział w wojnie informacyjnej po jednej tylko stronie. Nie, źle mówię, autorzy tych „newsów” mogą nie wiedzieć. Mam bowiem podejrzenia, że są to młodzi ludzie, z brakami w podstawowej wiedzy ogólnej, brakiem umiejętności pisania w polskim języku itd. Jednak ktoś to czyta, akceptuje, zatwierdza do druku. I to, przynajmniej w założeniu, powinni być dziennikarze z jakimś doświadczeniem, stażem, wiedzą. Ale jednak ten stek bzdur ogląda światło dzienne.

Jednak informacje to tylko jedna część propagandowych działań polskich mediów. Druga, znacznie istotniejsza, to albo publicyści tychże portali, piszący analizy, albo przywoływani „eksperci”. Ci ostatni to często wysocy oficerowie polskich sił zbrojnych. Ich wypowiedzi, jak np. ta, że Polska powinna „upomnieć się o obwód kaliningradzki”, to nie tylko galopująca głupota. To wypowiedź zagrażająca również bezpieczeństwu Polski, bo (niestety) traktowana poważnie przez Rosjan. Kolejni generałowie mówią podobne kocopoły od niemal początku wojny Rosji z Ukrainą, wieszcząc klęskę Rosji jeszcze w marcu, kwietniu i w kolejnych miesiącach. Nie w tym rzecz, że Rosja nie może klęski ponieść, jednak wieszczanie porażki z comiesięczną regularnością kompromituje autorów tych wypowiedzi.

Zaś sami publicyści, piszący analizy, nie potrafią zobiektywizować swojego przekazu, czego od analizy mamy prawo oczekiwać. W jednym z wiodących portali czołowy jego publicysta, były dyplomata, wykwalifikowany funkcjonariusz nie tylko przecież dyplomatycznych służb, jeszcze niedawno pisał obiektywne artykuły dotyczące polskiej polityki wschodniej.

Teraz jednak zamroził swój rozum i spuścił ze smyczy emocje. W jego „analizach” roi się od opowieści o „zdegenerowanym” przywódcy Rosji, pochwała zabójstwo Aleksandry Dugin, że w Rosji czai się głęboko uśpione zło, które teraz wyszło na powierzchnię. Trudno to traktować poważnie.

O paranoi, która jest udziałem dziennikarzy polskich mediów piszących o państwach na wschód od Bugu, świadczyć może historia jednego z reporterów wspomnianego portalu. Od początku wojny relacjonował ów konflikt, z ukraińskiej strony, jeżdżąc na pierwszej linii. Proukraińskich poglądów nie ukrywał, ale jednak jego relacje miały walor prawdziwości. Był chwalony i cytowany. Do momentu, gdy nieostrożnie napisał, że nieprawdziwe są triumfalne doniesienia o ukraińskich nieustających zwycięstwach. Wyraził troskliwe przypuszczenie, że Ukraina może tę wojnę przegrać. To wystarczyło, by zvaliła się na niego taka fala hejtu, jakiej zapewne nie doświadczył podczas całej swojej dziennikarskiej kariery. Pisać można, ale tylko to, co w smak odbiorcom. Z drugiej strony, sami dziennikarze sobie wychowali takich czytelników.

I to wszystko można byłoby jakoś znieść, gdyby nie to, że polskie państwo cenzuruje wszystkie inne narracje poza antyrosyjskimi i proukraińskimi. Odcięte (zresztą nie tylko w Polsce, ale w całej Unii europejskiej) zostały rosyjskie media państwowe i prywatne, prezentujące rosyjski punkt widzenia. Jakim prawem ktoś pozbawił ludzi możliwości wysłuchania obu stron konfliktu? Zagłuszanie w czasach PRL radiostacji Wolna Europa, to był, przy dzisiejszej cenzurze, dziecięcy szczebiot.

Powtórzę jeszcze raz: polskie media w tym okropnym i krwawym konflikcie sprzeniewierzyli się swojej podstawowej powinności: opisywaniu rzeczywistości i relacjonowaniu tego, co widzą. Niedawno zmarły Jerzy Urban w swej książce „Alfabet Urbana” wspomina, że podczas wojny 6 dniowej jego i kolegów polskich dziennikarzy dzieliła odległość 6 kilometrów w linii prostej. Tylko że on był po jednej stronie frontu, a oni po przeciwnej.

Ale to było dawno i pewnie nieprawda.

Autorstwo: Maciej Wiśniowski

Źródło: Strajk.eu